



Marek Lenarcik

TAJSKI EPIZOD Z DRESZCZYKIEM



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Michał Mrowiec
Projekt okładki: Jan Paluch

Fotografia na okładce została wykorzystana za zgodą Shutterstock.com

Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o.
ul. Michała Bałuckiego 21/2, 30-318 Kraków
tel. 12 2692961, 12 2677711
e-mail: helion@helion.pl
WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-246-3866-6

Copyright © Helion 2012

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Spis treści

PROLOG	7
ROZDZIAŁ 1	
Pieprzyć korporację!	13
ROZDZIAŁ 2	
Jak zostać nauczycielem?	31
ROZDZIAŁ 3	
Po której stronie krat stoisz?	55
ROZDZIAŁ 4	
Jak znaleźć mieszkanie?	71
ROZDZIAŁ 5	
Jak znaleźć pracę?	89
ROZDZIAŁ 6	
Miłość po tajsu	107
ROZDZIAŁ 7	
27-letni profesor	127

ROZDZIAŁ 8

Wakacje z duchami	145
-------------------------	-----

ROZDZIAŁ 9

Striptiz jak w banku	163
----------------------------	-----

ROZDZIAŁ 10

Ping-pong show	183
----------------------	-----

ROZDZIAŁ 11

Laski z fiutami	199
-----------------------	-----

ROZDZIAŁ 12

Zdrada	217
--------------	-----

ROZDZIAŁ 13

Wyjście smoka	235
---------------------	-----

PORADNIK DLA WYJEŹDŻAJĄCYCH	257
------------------------------------	------------



ROZDZIAŁ 4

Jak znaleźć mieszkanie?

Zjeżdżam szybką windą z 45. piętra na parter i udaję się do recepcji. Śliczne Tajki w beżowych mundurkach witają mnie z daleka *tajem* pełnym gracji. Odpowiadam uśmiechem i podchodzę pewnym krokiem.

— Gdzie znajduje się najbliższa stacja skytrainu?

— Skytrainu? A gdzie się wybierasz?

— Muszę dotrzeć do Asoke.

— Czemu nie weźmiesz taksówki? Stoją przed naszym hotelem.

— Mam ochotę przejechać się komunikacją miejską.

— Rozumiem... Po wyjściu z hotelu skręć w lewo i idź cały czas prosto.

Po prawej miniesz centrum handlowe Robinson. Zaraz za nim będzie stacja.

— Wielkie dzięki.

Ruszam dziarsko w kierunku wyjścia. Wychodzę z klimatyzowanego holu i zderzam się z gorącą, wilgotną ścianą powietrza, które jest nim chyba tylko z nazwy. Moje uszy atakuje potężna kakofonia odgłosów wydawanych przez setki samochodów, skuterów bez tłumików i *tuk-tuków*. Jaskrawe kolory taksówek przyciągają wzrok z oddali. Nie jestem jednak nimi zainteresowany. Taksówki stoją w korkach i odbierają przyjemność samodzielnego rozpracowywania miasta, w którym postanowiłem zamieszkać.

Idę zgodnie z instrukcjami przeuroczej recepcjonistki. Chodnik jest wąski, nierówny i dziurawy. Tempo przemieszczania się przypomina raczej spacer niż marsz — a to za sprawą tłumu Tajów, którym najwyraźniej nigdzie się nie spieszy, i setek sprzedawców żarcia, pamiątek i wszystkiego, co da się spieniężyć, którzy postanowili rozstawić swoje stragany akurat tam,

gdzie jest najciaśniej. Mijam centrum handlowe z wielkim, zielonym, błyszczącym napisem ROBINSON i wspinam się po schodach na stację BTS Skytrain. Staję przed mapą ilustrującą stacje wchodzące w skład dwóch linii podniebnego pociągu i poświęcam chwilę, by rozwikłać kwestię dojazdu do stacji Asoke. Jak spod ziemi pojawia się przy mnie uśmiechnięta Tajka w oficjalnym mundurku przedstawicielki kolejki miejskiej.

— *Potrzebować pomoc?* — pyta.

— Hmm... Chcę dostać się na stację Asoke.

— *Ooooo... Tutaj musisz jechać w stronę National Stadium. Potem będzie musisz przesiąść się do drugiego pociąg na stacji Siam. Pociąg do On Nut, ka.*

— Aha. A bilety kupuję w kasie czy w pociągu?

— *Ooooo... Bilety kupić w maszynie tylko na monety. Nie mieć monet, to rozmienić w kasie. Bilety strefy. Minimum 20 bahtów, maksimum 40 bahtów. Zależy od dystans, ka.*

— Rozumiem. Macie jakieś stałe bilety, na przykład miesięczne?

— *Ka. Kupić w kasie kartę magnetyczną.*

— Dzięki. Jesteś bardzo pomocna.

Dumny z dokonanych odkryć idę na całość i zamiast rozmienić banknoty na monety, kupuję bilet magnetyczny i doładowuję go kwotą 500 bahtów. Czuję, że zabawię tu dość długo i zainwestowane pieniądze nie przepadną. Schodami ruchomymi wjeżdżam na przestrzenny, dobrze oświetlony peron pełen billboardów reklamujących jakieś tajskie filmy o nic niemówiących mi tytułach. Wielki telewizor wyświetla reklamy proszków do prania, toników na pryszczę i kremów wybielających skórę. Jedna z nich powtarza się kilka razy. Przedstawia trzy śnieżnobiałe Azjatki spacerujące z gracją wzdłuż basenu. Młodzi Azjaci siedzący na leżakach na ich widok doznają ran ciętych niewidzialnym ostrzem na klatce piersiowej, a następnie wpadają do wody. To wybielający krem Nivea tak ich załatwił. Biedne chłopaki.

Po kilku minutach na stację wjeżdża nowoczesny, biały pociąg z wielkim napisem „CANON YOU CAN”. Wsiadam do pociągu, w którym odczuwalna temperatura jest poniżej zera. Zajmuję miejsce siedzące naprzeciwko telewizora wyświetlającego reklamy, których dźwięki wypełniają cały wagon i przerywane są jedynie po to, by poinformować pasażerów, jak nazywa się następna stacja.

Pociąg nie jest zatłoczony. Większość ludzi tępo wpatruje się w ekran telewizora. Inni bawią się telefonami, laptopami i tabletami. Najpopularniejsze marki to Apple, Blackberry i Samsung. Walczę z pokusą, by założyć nogę na nogę. W tej najwygodniejszej dla mnie pozycji moją podeszwę oglądałoby pół wagonu. W Tajlandii stopy uchodzą za najbrudniejsze części ciała. Wskazanie kogoś stopą jest tu równie obraźliwe jak dla nas splunięcie komuś w twarz.

Na stacji Siam wysiadam na wprost Siam Paragon — najsłynniejszego tajskiego centrum handlowego, będącego zakupową wizytówką miasta. Stacja ma kilka poziomów i — zgodnie z zapowiedzią pani w odprasowanym mundurku — umożliwia przesiadkę na pociąg linii Sukhumvit. Przebijam się przez tłum ludzi z torbami pełnymi zakupów i odnajduję peron, z którego odjeżdżają pociągi zatrzymujące się na stacji Asoke. W niecałe 10 minut później jestem już na właściwej stacji, pod którą krzyżują się dwie, wiecznie zakorkowane, strategiczne arterie miasta — Thanon Sukhumvit i Thanon Asoke¹.

Nie tyle wychodzę, ile wypływam na zewnątrz z wielkim tłumem ludzi zdążających do stacji metra, nazywanego w skrócie MRT. Podziemna kolejka łączy główną stację kolejową Hua Lamphong z północną częścią miasta, przechodząc po drodze przez wszystkie centra miasta. Tak, Bangkok nie ma jednego centrum. Jedno jest w okolicy Silom Road, przy której stoi mój hotel, drugie przy stacji Siam, gdzie miałem przesiadkę. Za trzecie można uznać okolice skrzyżowania ulic Sukhumvit i Asoke, na którym właśnie się znajdowałem. Czwarte i jedyne nieobsługiwane przez pociągi centrum znajduje się tuż przy wschodnim brzegu rzeki Chao Phraya — gdzieś między chińską dzielnicą a Wielkim Pałacem Królewskim. Nikt nigdy nie umawia się w centrum tego miasta bez dokładnego określenia, o które centrum mu chodzi.

Ja umówiłem się z Michałem, Polakiem mieszkającym w Tajlandii od pięciu lat, przy trzecim wyjściu ze stacji skytrainu. To bardzo wygodny sposób umawiania się w tajskiej stolicy — nazwa stacji plus numer wyjścia plus określenie, czy na peronie, czy już na poziomie ulicy. Michał jest wysokim,

¹ *Thanon* w wolnym tłumaczeniu oznacza główną ulicę. Od *thanon* odbiegają *soi*, czyli małe uliczki. Jeśli np. poszukiwany budynek znajduje się na Sukhumvit Soi 38, to znajdziemy go na 38. uliczce odchodzącej od ulicy Sukhumvit.

szczupłym blondynem około trzydziestki natychmiast wyróżniającym się z tłumu niskich, ciemnych Tajów. To, że nic o nim nie wiem, nie przeszkadza mi w wymianie grzeczności i wspólnej wędrówce w kierunku polecanej przez niego restauracji. Idziemy wzdłuż Asoke Road wśród wysokich szklano-metalowych budynków. Mijamy stację metra Sukhumvit i rozświetloną uliczkę, z której dobiega głośna muzyka. — To Soi Cowboy, jedna z trzech najśłynniejszych ulic z burdelami w Bangkoku — wyjaśnia Michał. Odwracam głowę za rykiem potężnego silnika. To nowe czerwone ferrari pędzi w kierunku światła. Nieźle jak na trzeci świat. Po około 20 minutach marszu docieramy do Singha Beer House. Siadamy na zewnątrz przy drewnianej ławie z widokiem na ulicę. Jednak mój wzrok nieodmiennie przyciągają śliczne, filigranowe, białe Tajki w żółtych sukienkach, pracujące w lokalu. Albo one wszystkie są naprawdę bardzo ładne, albo mój zmysł oceny został zaburzony czterema latami pobytu w Dublinie wśród irlandzkich kaszalotów stołujących się w fast foodach trzy razy dziennie. Dostajemy menu po angielsku i po tajsku i studiujemy je wnikliwie przez kilka minut, w czasie których jedna z kelnerek-modelek czeka cierpliwie dwa metry od stolika.

— Zdecydowałeś się? — pyta Michał.

— Tak. Wezmę kurczaka w zielonym curry z ryżem i jakieś piwo.

— Może weźmiemy wieżę piwa?

— Wieżę?

— Wieżę singha...

— Nie wiem, co to jest, ale brzmi dobrze. Wchodzę.

Kelnerka podchodzi w reakcji na uśmiech Michała. Mój kompan składa zamówienie w całości po tajsku i zdaje się, że flirtuje z dziewczyną przez dobre kilka minut. Dziewczyna rumieni się i cały czas śmieje. Ja jestem w szoku.

— Nie wiedziałem, że mówisz płynnie po tajsku!

— A gdzie tam płynnie? Podstawy.

— Podstawy? Ja dziękuję za te podstawy. Ile się uczyłeś?

— W zasadzie od przyjazdu, czyli od jakichś pięciu lat.

— Pięknie... Jak ty się tu w ogóle znalazłeś?

— To prosta historia. Przyjechałem na praktyki studenckie. Spodobało mi się i zostałem.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu. Znalazłem pracę jako nauczyciel angielskiego, cały czas rozglądając się za czymś lepszym. Robiłem wiele rzeczy i tak stuknęło mi tu pięć lat.

— Nieźle...

Na naszym stole ląduje szklana wieża wypełniona na oko trzema litrami złocistego napoju, zielone curry z kurczakiem podane w wydłubanej skorupce kokosa oraz zupa *tom yum* z owocami morza dla Michała. Dwa talerze białego ryżu podane są osobno.

— A co ty tu robisz?

— Ostatnie cztery lata spędziłem w Irlandii. Wynudziłem się w korporacji, zmarzłem, zmokłem i postanowiłem szukać szczęścia w tropikach.

— Dobry wybór. Chcesz zostać w Bangkoku czy pracować gdzieś indziej w Tajlandii?

— Wiesz, uparłem się na Bangkok, ale nie wiem, co z tego będzie. Lubię duże miasta, ale Bangkok to coś więcej niż kolejne duże miasto. Dla turysty to miejsce, które trzeba zobaczyć. Dla potencjalnego mieszkańca jest to miejsce przerażające i fascynujące jednocześnie.

— Prawidłowa reakcja. Ja też tak miałem.

— I co z tym zrobiłeś?

— Dałem sobie czas. Daj sobie i miastu kilka tygodni i zobaczysz, co się stanie.

— A co się może stać?

— Opcje są trzy: albo wrócisz do Europy, albo wyjedziesz na prowincję, albo Bangkok wciągnie cię bez reszty.

— Ciebie wciągnął?

— To mało powiedziane. Już po kilku tygodniach nie wyobrażałem sobie, że mógłbym mieszkać gdziekolwiek indziej.

— Dlaczego?

— Bangkok to cały świat w pigułce. Kina, teatry, galerie... bogata oferta rozrywkowo-kulturalna...

— ...no tak, ale to samo masz przecież w Nowym Jorku, Londynie czy nawet w Warszawie.

— No tak, a więc musi być coś jeszcze. Coś, czego nie uda się ująć w słowa. To trochę jak z kobietą. Cały świat uważa ją za przeciętną, a dla ciebie jest wyjątkowa. Ma w sobie to coś, czego nie potrafisz nazwać, ale nie możesz bez tego żyć.

— Ja to nazywam zapachem. Tym egzotycznym zapachem chaosu i Orientu. Zapachem, który wygnał mnie stąd trzy lata temu i przywłókł z powrotem. Połączeniem Wschodu i Zachodu, nowoczesności i tradycji.

— Może Bangkok po prostu ma duszę?

— Może. Wypijmy za to.

— Wypijmy!

Z kolejną wieżą piwa rozmowa jeszcze bardziej się rozluźnia. Dość swobodnie rozmawiamy o sytuacji polityczno-społeczno-ekonomicznej Tajlandii, rodzinie królewskiej i tajskich dziewczynach. Do hotelu biorę taksówkę nie tylko dlatego, że mógłbym nie trafić. Skytrain kursuje tylko do północy, a my zasiedzieliśmy się znacznie ponad to.

Budzę się na megakacu i z ulgą stwierdzam, że nie ma przy mnie ani Michała, ani wytatuowanych prostytutek. W hotelu Lebua przysługują mi jeszcze dwie noce. Czas na poważnie wziąć się za szukanie mieszkania. Zależy mi na czymś małym, wygodnym, tanim, blisko skytrainu lub MRT i z możliwością wynajęcia na krótki okres czasu, najlepiej tylko na miesiąc. Nie mam pojęcia, w której części miasta dostanę pracę, i nie chcę wiązać się długim kontraktem. Codzienne podróżowanie z jednego końca miasta kilkakrotnie większego od Warszawy na drugi musi być prawdziwym koszmarem nawet przy korzystaniu ze skytrainu i MRT. Zakładając oczywiście, że moja przyszła robota będzie mieścić się w sensownej odległości od jakiegokolwiek stacji. „Tanio” i „blisko pociągów” wydają się być dwoma sprzecznościami na www.mrroomfinder.com — najpopularniejszej tajskiej stronie z mieszkaniami polecanej przez wszystkich, z którymi rozmawiam. Jeszcze na Koh Lipe wysłałem maila do Galleria@Subway — apartamentowca blisko stacji MRT Huai Khwang. Budynek oferuje 40-metrowe kawalerki za ok. 8 000 bahtów. Cena jest do przełknięcia przy założeniu, że od jednego z centrów Bangkoku będzie dzielić mnie 10 minut jazdy klimatyzowanym pociągiem. Namiar na lokal dostałem od ambasadorki Bangkoku w serwisie www.couchsurfing.org,

którą poprosiłem o poradę. Co z tego, skoro nie doczekałem się odpowiedzi na maila. Podejrzewając, że w Tajlandii mailem nie załatwia się ważnych spraw, dzwonię na numer podany na stronie internetowej. Nie rozwiązuje to jednak mojego problemu, gdyż mój przeziły rozmówca nie zna ani jednego słowa po angielsku. Zbieram myśli, surfując po znanym mi już tajskim serwisie randkowym w poszukiwaniu nowej zdobyczy w tajskiej stolicy. Z zadziwiająco łatwością umawiam się na wieczór ze śliczną laską, która do tego zdaje się nieźle mówić po angielsku.

Wraz z końcem objawów kaca giganta postanawiam wybrać się do Galleria@Subway. Uzbrojony w adres i średnio zrozumiałe wskazówki informujące, jak się tam dostać, pokonuję znaną mi już trasę z hotelu Lebua do stacji Asoke. Przechodzę przez wykrywacze metalu i zjeżdżam ruchomymi schodami pod ziemię na stację MRT Sukhumvit. Mijam podziemne centrum handlowe i z tłumem innych mieszkańców Bangkoku zjeżdżam jeszcze jeden poziom niżej. Wyciągam bilet magnetyczny i... o mało nie zabijam się o barierki. Bilet wydaje nieprzyjemny odgłos i nie pozwala mi przejść na peron. Kieruję się do kasy, gdzie obsługa wyjaśnia, że mój bilet jest ważny jedynie na skytrain. Na MRT obowiązują oddzielne bilety. Kierowany przecuciem, że z metra również często będę korzystał, kupuję kolejną kartę magnetyczną i znów doładowuję ją 500 bahtami. Tym razem szczęśliwie przekraczam barierki i zjeżdżam w dół, na kolejny poziom, skąd odjeżdżają pociągi na północ, w kierunku Bang Su.

Na tory oddzielone od peronu grubym, ciemnym szkłem z rozsuwanymi drzwiami rozmieszczonymi co kilka metrów z cichym jękiem wjeżdża elektryczny pociąg, jak się wydaje — sterowany przez komputer. Drzwi rozsuwają się z sykiem, a ja wchodzę na pokład zmrożonego wagonu i po kilku minutach dość szybkiej jazdy wysiadam na stacji Huai Khwang. Wychodzę na powierzchnię, zastanawiając się, co artysta miał na myśli, pisząc na billboardzie, że nowo budowany apartamentowiec znajduje się zaledwie pięć metrów od stacji MRT. Rozglądam się wokoło, ale nie widzę żadnego placu budowy. Co gorsza, nie widzę nic, co wygląda jak Galleria@Subway. Nie widzę też nic, co choć trochę pomogłoby mi w zorientowaniu się, w którym kierunku powinienem iść. Niezrażony ruszam przed siebie, by wyjść na ulicę o znajomo

brzmiącej nazwie: Soi Pracharatbamphen. Sprawdzam adres, który kieruje mnie na 24 Soi Pracharatbamphen 1 Huaikhwang Intersection Ratchadapisek Road. Więc skoro tutaj, to czemu jednak nie? Skręcam w lewo i kontynuuję marsz przez kilka minut, nadal nie widząc budynku ze zdjęcia. Komunikuję się na migi z panami w granatowych, odprasowanych mundurkach pilnujących szlabanu zamykającego dojazd do strzeżonego parkingu przed wysokim apartamentowcem. Panowie bez przekonania, że wiedzą, o czym mówią, odсыlają mnie na drugą stronę skrzyżowania. Czyli tam, gdzie poszedłem w lewo, powinienem iść w prawo? Niech będzie. Udaje mi się nie stracić życia na dużym rondzie, które mimo iż kontrolowane sygnalizacją świetlną, idealnie wpisuje się w chaotyczny obraz Bangkoku. Mijam dwa apartamentowce i rząd sklepików oferujących masaż ze szczęśliwym zakończeniem. Naprzeciwko zakamuflowanych burdeli znajduje się niewielka buddyjska świątynia i mały sklep wielobranżowy 7/11. Ignoruję zaczepki mototaksiarzy, *tuk-tukowców* i ulicznych sprzedawców smażonego jedzenia. Na kolejnym skrzyżowaniu z jakąś niewielką uliczką patrzę w prawo, a wówczas moim oczom ukazuje się budynek najwierniej oddający to, co wyglądało jak Galleria@Subway na stronie internetowej. Ruszam w tym kierunku, mijając improwizowaną knajpę, która nie spełnia żadnych cywilizowanych warunków sanitarnych, uliczny stragan z kawą obsługiwany przez dwie nastolatki i zakład fryzjerski, w którym fryzjerki, sądząc po gabarytach, są słynnymi tajskimi *ladyboys*.

Galleria@Subway okazuje się być w miarę nowym, dziesięciopiętrowym budynkiem. Atakuję recepcję, w której siedzi całkiem rozzagarnięta starsza Tajka mówiąca niezłe po angielsku. Domyślam się, że mój telefon odebrał ochroniarz, który otworzył mi drzwi. Chwilę później jesteśmy w drodze do mojego przyszłego lokum. Uśmiecham się na widok kartki informującej, że gościom zabrania się przyprowadzania prostytutek. Wjeżdżamy windą na ósme piętro, a następnie schodzimy po schodach pół piętra w dół. Artystyczna wizja architekta założyła, że winda zatrzymuje się na półpiętrach. Mieszkania natomiast ulokował na piętrach właściwych. Genialne!

Pani z recepcji otwiera drzwi do mieszkania, które okazuje się być dużym pokojem. Na podłodze wykładzina, podwójne łóżko, niewielka sofa, biurko z telewizorem, lodówka, drzwi do łazienki i na balkon. Łazienka jest malutka,

ale ma wszystko, czego potrzebuję: prysznic z wanną, umywalkę i europejski kibel. Z balkonu rozpościera się widok na okoliczne, mało atrakcyjne zabudowania i Emanuel Entertainment Complex, z którego uśmiecha się do mnie kilkumetrowa twarz Tajki sugerująca mało dyskretnie, jakiego rodzaju rozrywki oferowane są w środku. Gdzieś w oddali mającą spowite popołudniowym smogiem wieżowce jednego z centrów Bangkoku. Podoba mi się, mimo że telewizora i lodówki nie ma w cenie. Za lodówkę zgadzam się dopłacić 500 bahtów, a telewizora nie chcę. Podpisuję miesięczną umowę najmu, która liczy całe dwie strony, wpłacam 2000 bahtów depozytu i umawiam się na wprowadzkę pojutrze. Mieszkanie na start wynajęte. I to w cenie niewiele przekraczającej opłatę za dobę w przeciętnym pięciogwiazdkowym hotelu. Wracam do Lebua at State Tower, by przygotować się na pierwszą randkę w tajskiej stolicy. Rozpycha mnie poczucie dumy związane ze znalezieniem mieszkania w tak egzotycznym miejscu w nieco ponad 24 godziny. Może jednak polubimy się z Bangkokiem?

Exit 2, stacja Surasak BTS Skytrain. Godzina 20.00. Czekam na Lalanę, z którą rozmawiałem wcześniej na czacie www.thailovelinks.com. Po umownych w Europie 15 minutach, które w Tajlandii oczywiście nie mają znaczenia, dzwonię pod zapisany numer. Lalana zmieniła zdanie, nie racząc mnie o tym poinformować. Nadal chce się spotkać, ale nie na proponowanej przeze mnie stacji Surasak, która przypadkowo znajduje się blisko hotelu Lebua at State Tower, lecz na stacji MRT Bang Sue, niemalże po drugiej stronie miasta. I nie o 20.00, tylko o 21.00. Zastanawiam się chwilę, czy nie odwołać spotkania, ale przypominam sobie seksowne zdjęcia mojej wybranki i zgadzam się przyjechać w jej okolicę. Desperat. Łapię skytrain do Sala Daeng, gdzie można przesiąść się na MRT. Ze stacji rozciąga się widok na zakorkowaną i chaotyczną Silom Road. Między kolorowymi taksówkami przepychają się mototaksiarze w pomarańczowych kamizelkach. Na dziurawych chodnikach Tajowie wracający z pracy idą powoli jeden za drugim, tworząc wielki ludzki korek. Małe grupki podniekcytowanych *farangów* zmierzają w kierunku Patpong — nocnego bazaru

i jednej z czerwonych dzielnic dla turystów w jednym. Uliczni handlowcy sprzedają wszystko — od tandetnych pamiątek po dziecięcą pornografię, co nie wywołuje żadnej reakcji wśród patrolujących ulicę policjantów. Korzystając z systemu kładek i mostków, przechodzę nad skrzyżowaniem Th. Silom i Th. Rama IV. Mijam pomnik króla Ramy IV i wejście do Lumpini Park. W parku grupa około 50 osób uprawia wieczorny aerobik w rytm muzyki i instrukcji serwowanych przez organizatora stojącego na specjalnie przygotowanej platformie. Przed zejściem do stacji metra Silom obracam się, by rzucić okiem na jedno z centrów tajskiej stolicy w całej okazałości. Na tle rozświetlonych wieżowców przejeżdża skytrain. Pod nim kłębią się piesi, samochody, motocykle i *tuk-tuki*. Mimo totalnego ścisiku i chaosu nikt nie używa klaksonu, choć walka o każdy metr ulicy trwa. Hałas wywołowany przez dziesiątki tysięcy rur wydechowych odbija się echem wśród budynków. Mimo późnej pory odczuwalna temperatura nadal oscyluje w granicach 30 stopni. Obecność zielonego parku Lumpini wydaje się nie mieć wpływu na jakość tego, co w Europie nazywamy powietrzem. Biorę głęboki wdech i wypełniam płuca egzotycznym smrodem, po czym zjeżdżam ruchomymi schodami na stację metra, skąd łapię pociąg do Bang Sue — ostatniej stacji na trasie MRT.

Lalana uśmiecha się do mnie z daleka. Wysokie obcasy optycznie wydłużające nogi, krótka czarna spódniczka opinająca się na małym, jędrnym tyłku, biała obcisła bluzeczka podkreślająca jej spore jak na Tajkę piersi, biała skóra, rude farbowane włosy i olśniewający uśmiech powalają każdego faceta w okolicy. Lalana to *luk kreung* — dziecko z europejsko-tajskiego związku łączące w sobie najlepsze cechy genetyczne przedstawicieli obu kontynentów. Wymieniamy grzeczności i chwilę później siedzimy w różowej, zmrożonej taksówce zmierzającej w kierunku Khao San Road — ulicy, na której Leonardo di Caprio pił krew węża w filmie „Niebiańska Plaża”.

Thanon Khao San to krótka, wyłączona z ruchu samochodowego ulica w jednym z centrów Bangkoku. W przeszłości był to największy bazar z ryżem

w tajskiej stolicy. Transformacja ryżowego targowiska w mekkę plecakowców² słynącą z tanich noclegów od materaca w pudełku po trzygwiazdkowe hotele rozpoczęła się ponad 20 lat temu. Łapię Lalanę za rękę i wprowadzam w tłum przelewających się wszędzie *farangów*. Po obu stronach ulicy są bary, restauracje, sklepy i wejścia do noclegowni ukryte za dziesiątkami straganów sprzedających żarcie, pamiątki i fałszywe dokumenty tożsamości. Kolorowe neony rozświetlają ulicę, na której znajduje się największa koncentracja białych ludzi w tej części świata. Miejska legenda głosi, że Tajowie przyjeżdżają na Khao San Road, by popatrzeć na fragment Tajlandii, który już dawno nią nie jest. Takie nowe hobby — obserwacja *farangolandu* w centrum Bangkoku. Nieustający napór turystów sprawił, że w ostatnich latach ceny na Khao San znacznie podskoczyły, wyganiając zorientowanych budżetowców na okoliczne uliczki lub do innych dzielnic. Ceny jedzenia i alkoholu są dwa, trzy razy wyższe niż w typowo tajskich miejscach. Nauczony doświadczeniem z Phuketu, zabieram Lalanę na pizzę, która przeciętną Tajkę raduje nie mniej niż mnie *tom yum* z kurczakiem. W trakcie posiłku poznajemy się nieco lepiej, choć rozmowa średnio nam się klei. Tajska piękność nie rozumie europejskich żartów i sama niespecjalnie się wysila, by mnie rozbawić. Rozluźniam atmosferę, zaliczając kolejne bary. W każdym z nich pijemy po jednym drinku i idziemy dalej, by ostatecznie wylądować na parkiecie w jednej z lokalnych dyskotek. Pijemy, tańczymy i bawimy się do późna. Atmosfera robi się coraz gorętsza, więc proponuję, żebyśmy złapali taksówkę. Wychodzimy na zewnątrz, gdzie banda taksiarzy rzuca się nas niczym wygłodzone hieny. Moja koleżanka klóci się przez chwilę z jednym z nich, ostatecznie ustalając, że zapłacimy wg wskazań licznika. Odjeżdżamy.

Siedzimy na tylnym siedzeniu różowej taksówki objęci jak para zakochanych. Trzymamy się za ręce, patrząc sobie głęboko w oczy. Zaczynam delikatnie masować jej szczupłe, wyrzeźbione na siłowni udo.

² Ang. *backpackers* — turyści, najczęściej w młodym wieku, podróżujący jak najniższym kosztem. Często objuczeni jednym lub większą liczbą plecaków, do których czasami starają się spakować pół dobytku, uzasadniając to długą podróżą.

— Nie myśl sobie, że pójdę z tobą do łóżka na pierwszej randce — mówi Lalana.

— Nawet przez myśl mi to nie przeszło, ślicznotko — kłamię jak z nut.

— To dobrze, jestem porządną dziewczyną...

— Wiem, Lalana, odstawię cię bezpiecznie do domu i pojadę dalej. Zadzwoń do mnie jutro.

— Zgoda.

Taksówka zatrzymuje się w bocznej uliczce przed ładnym domkiem odgrodzonym od ciekawskich spojrzeń przechodniów wysokim, zielonym żywopłotem. Lalana daje mi najśłodsze buziaka, jakiego dostałem od dwóch lat, a ja zastanawiam się, czy kręci mi się w głowie właśnie od tego, czy od ilości spożytego alkoholu. Taksiarz wiezie mnie do hotelu. Korzystając z braku korków, ewidentnie ściga się z kolegami po fachu. Nie reaguję. I tak nic by to nie zmieniło.

O poranku wykwaterowuję się z hotelu i łapię taksówkę do Huai Khwang, gdzie mieści się mój nowy dom. Reguluję resztę należności, płacąc z góry za pierwszy miesiąc plus jeden miesiąc depozytu, odbieram klucze i urządzam się w swoim nowym apartamencie. Resztę dnia spędzam z komputerem w łóżku, zerkając nerwowo na telefon, który milczy jak zaklęty. Motylki w brzuchu każą dzwonić już, teraz i natychmiast. Powstrzymuję się jednak, by nie wyjść na totalnego napaleńca. Jest niewiarygodnie duszno.

— Buuuuuuum! — potężny huk budzi mnie z odrętwienia. Autoalarmy wszystkich samochodów zaparkowanych na ulicy włączają się w tym samym momencie. Zza okna dobiega potężny szum. Wychodzę na balkon. Stwierdzenie „pada deszcz” jest zupełnie nieadekwatne do sytuacji. Przede mną rozpościera się ściana wody ograniczająca widoczność do kilku metrów. Gdzieś na horyzoncie nad jednym z centrów miasta odgrażają się błyskawice, pomrukując głośno. Wyłączam klimatyzację i zostawiam otwarte okno. Powietrze. Powietrze — takie prawdziwe, którym można spokojnie oddychać — wdzierza się do mieszkania. Nie licząc motocyklowego incydentu w Phukecie, deszczu nie widziałem od wyjazdu z Irlandii. Takiego deszczu nie widziałem nigdy. Leje przez prawie dwie godziny. Uliczka prowadząca do mojego apar-

tamentowca wypełnia się wodą. Taksówki grzęzną w niej po zderzaki. Kierowcy motocykli odpuścili i czekają na poboczach, aż woda trochę opadnie. Piesi w podwiniętych spodniach i z butami w ręku próbują się przedostać na najbliższy przystanek autobusowy. Na głównych ulicach tworzą się kilometrowe korki. Studzienki uliczne nie nadążają z odprowadzaniem wody. Deszcz znów zaskoczył drogowców...

Lalana nie dzwoni. Czekam, aż woda trochę opadnie, i idę na kolację. Grzęzną w brudnej wodzie po kostki. Nie zdejmuję jednak kłapek w obawie przed tym, na co potencjalnie mógłbym nadepnąć. Pływające szczury i sunące po powierzchni wąż przekonują mnie o słuszności podjętej decyzji. Zaglądam do pierwszego lokalu na drodze, którego nazwanie restauracją byłoby grubą przesadą. Trzy plastikowe stoły, otoczone krzesłami, jedna zalaminowana kartka robiąca za menu (oczywiście tylko po tajsku) i starsza uśmiechnięta pani przy kuchni to wszystko, co jest w zasięgu wzroku. Siadam i patrząc głupio w menu, próbuję zamówić jedną ze znanych mi potraw. Niestety, żadnej nie ma w ofercie. Zostaję przy ryżu z kurczakiem, który zasypuję trzema odmianami ostrych przypraw dla nadania smaku i ochrony żołądka. Wracam do mieszkania, jeszcze raz rzucam okiem na milczący telefon, wzdycham głęboko i idę spać.

Z rana postanawiam zaprzyjaźnić się z tubylcami. Jem śniadanie u tej samej pani, tym razem decydując się na wieprzowinę z ryżem na ostro. Nie wytrzymuję i dzwonię do Lalany.

— Cześć kochanie, jak się masz? — pytam.

— Dobrze, a ty?

— Dobrze, choć przyznam się, że spodziewałem się wczoraj telefonu od ciebie.

— Byłam zajęta — mówi tak chłodno, że miejski upał przestaje być odczuwalny.

— Zobaczmy się dzisiaj?

— Nie. Dziś też jestem zajęta.

— Rozumiem...

— Słuchaj, nie wiem, co ty sobie myślisz, ale ten pocałunek naprawdę nie miał dla mnie żadnego znaczenia. Wczoraj byłam z innym facetem i też się

całowaliśmy. Dziś wychodzę z kim innym i sama nie wiem, co się stanie. Jak chcesz, to możemy być przyjaciółmi.

— Nie potrzebuję takich przyjaciół — rzucam zszokowany i rozłączam się.

Robi mi się gorąco i zimno na przemian. Mam zawroty głowy. Lalana zauroczyła mnie na maksa, by następnie wyrzucić jak nudną zabawkę. Pragnąłem jej i nienawidziłem jednocześnie. Była typem pięknej dziewczyny, przed którym ostrzegają się *farangowie*. Czaruje, umawia się, wysysa energię, a przede wszystkim kasę (cała randka kosztowała mnie prawie 3000 bahtów), a na koniec odrzuca. Następnie powtarza scenariusz z innym mężczyzną. Darmowe kolacje, drinki, zabawy w klubach. Sprytne. Gracz przegrał grę.

— Cześć Paweł, Marek mówi. Byliśmy w kontakcie mailowym, zanim przyleciałem do Tajlandii.

— A, cześć Marku, jasne, jasne, pamiętam. Co tam, jak tam?

— Dobrze, wczoraj wynająłem mieszkanie. Co robisz wieczorem?

— W zasadzie nic konkretnego. Masz ochotę na piwo?

— Jasne, po to właśnie dzwonię!

— Super, spotkajmy się na stacji skytrainu Asoke o 21.00 i zobaczymy, co dalej, OK?

— Super, do zobaczenia.

— Na razie.

Po przejściach z Lalaną nie byłem w nastroju na kolejną randkę, choć propozycji na www.thailovelinks.com nie brakowało. Piwo z póki co internetowym kumplem wydawało się jak najbardziej na miejscu. Kontakt do Pawła dostałem od koleżanki z Dublina. Kiedyś chcieliśmy jechać do Azji razem. Znalazła Pawła na forum dyskusyjnym, szukając różnych ciekawych informacji o tej części świata. Paweł mieszkał w Malezji, ale wkrótce zamierzał przenieść się do Bangkoku. Moja koleżanka zamiast Tajlandii wybrała Brazylię i nasze drogi się rozeszły. Z Pawłem byłem jednak w sporadycznym kontakcie. Nadszedł czas na spotkanie z kolejnym rodakiem, którego los rzucił w tę część świata.

Łapię MRT do stacji Sukhumvit, gdzie metro przebiega pod stacją linii skytrainu Asoke. Paweł jest wysokim, szczupłym, siwym czterdziestokilkulatkiem łatwo dostrzegalnym w tłumie Tajów. Witamy się i ruszamy przed siebie, próbując nie stracić życia na skrzyżowaniu Thanon Asoke i Thanon Sukhumvit. Powietrze jest gęste od samochodowych spalin i wilgotności charakterystycznej dla tropikalnego klimatu. Jest późno, pojazdy nadal stoją w korkach, a niebo rozżarzone jest milionem świateł. Udajemy się na Soi Cowboy — jedną z najbardziej znanych ulic w Bangkoku. Ulica nazwana jest na cześć T.G. „Cowboy” Edwardsa, amerykańskiego lotnika, którzy na emeryturze otworzył tu jeden z pierwszych lokali w 1977 roku. Edwards, wysoki Afroamerykanin, zawsze chodził w kowbojskim kapeluszu. Stąd jego przezwisko i nazwa ulicy.

Podążamy za muzyką i masami napalonych turystów, a naszym oczom ukazuje się niezwykle widok. Wielokolorowe neony atakują oczy z każdego kierunku. Spacerujemy wzdłuż ulicy, mijając lokale o dźwięcznych nazwach: Toy Bar, Doll House czy Spice Girls. Na krótkiej ulicy znajduje się ponad 40 barów i kilka restauracji. Ulica pełna jest mężczyzn o zachodniej aparycji, prostytutek i tajskich naganiaczy. Przed barami siedzą panie w skąpych strojach, zapraszając do środka. Jedna z nich trzyma plakat: „20 powalających dziewczyn plus dużo brzydkich i kilka grubych”.

Na końcu ulicy omal nie wpadamy w ręce kierowców *tuk-tuków* — zmotoryzowanych, trójkołowych rikszy pełniących funkcję taksówek i będących atrakcją turystyczną samą w sobie. Kierowcy oferują nam wszystko, poczynawszy od zawiezienia do burdelu dla Tajów (niższe ceny), przez pokaz seksu na żywo, po *ping-pong show* i *bottle-opening show*, gdzie roznegliżowane kobiety demonstrują alternatywne sposoby użycia piłeczek pingpongowych i otwierania butelek piwa najbardziej intymną częścią ciała.

Idziemy do pierwszego baru. Centralną część lokalu zajmuje wybieg z metalowymi rurami, na których z różną intensywnością wiją się szczupłe Azjatki. Większość z nich tańczy w białiznie, na którą krawiec zdecydowanie pożałował materiału. Niektóre z nich zapomniały przywdziać biustonosze. Panujący półmrok, dyskotekowe oświetlenie i rosnący poziom alkoholu we krwi uniemożliwia wyważoną ocenę urody prezentujących swoje ciała pań. Zamawiamy piwo i siadamy przy samym wybiegu. Na nasz ruch niektóre z pań ożywiają się.

Uśmiechają się zalotnie, zniżają na wysokość twarzy i rozpoczynają uwodzicielski taniec. Wbrew pozorom w tej grze nie chodzi o napiwek, choć oczywiście żadna z kobiet nim nie wzgardzi. Każda laska ma numerek. Zamówienia składa się przy barze.

Przysiadają się do nas dwie z nich. Rozmawiamy, flirtujemy, śmiejemy się. Po kilku minutach jedna z nich szepce coś na ucho kelnerce. Ta przynosi nam kolejne dwa piwa i drinki dla dziewczyn (tzw. *lady drinks*). Wiadomo, kto dostanie rachunek za wszystko. Zabawa trwa w najlepsze, gdy mój towarzysz rzuca krótko: — Wychodzimy! Wyjaśnię ci na zewnątrz. Opuszczamy lokal. — Widziałem, jak jedna z nich wrzuciła mi jakieś tabletki do piwa — mówi wyraźnie przejęty Paweł.

Kolejny lokal niezbyt różni się od poprzedniego — scena z metalowymi rurami, przyćmione światło, skąpo ubrane dziewczyny, zatłoczony bar. Podobnie jak poprzednio, część tancerek ożywia się na widok nowych gości. Inne patrzą gdzieś przed siebie, wysoko ponad głowami klientów. Ich twarze nie mają wyrazu. Nie uśmiechają się. Są jak w transie i wydają się krzyć całym ciałem: — Proszę, tylko nie ja!

John Burdett, autor serii wspaniałych powieści opowiadających o nieskorumpowanym gliniarzu będącym dzieckiem tajskiej prostytutki i *faranga*, prowadził badania na Soi Cowboy. Twierdzi, że wszystkie pracujące tam kobiety pochodzą z Isaan — biednego, rolniczego regionu na północnym wschodzie kraju. Większość z pracujących na Soi Cowboy kobiet przygnała tu bieda. Trudno więc oczekiwać od nich satysfakcji z pracy.

Znowu dosiadają się do nas dwie koleżanki. Jedna z nich jest tutaj kelnerką — tak brzmi oficjalna wersja. Rozmowa, flirt, śmiech, toasty (znów na nasz koszt). Dziewczyny uważnie pilnują, by nie udało mi się zrobić w środku żadnych zdjęć. Na pocieszenie proponują, że możemy pstryknąć sobie wspólne zdjęcia, ale tylko telefonem, który do tej pory leżał nieużywany na stole. Alkohol coraz bardziej uderza do głowy i obaj czujemy, że na nas już pora. Opuszczamy lokal.

— Nie zgubiłeś niczego? — pyta wyraźnie rozbawiony Paweł.

— Nie wiem, a zgubiłem?

Kompan od kieliszka podaje mi mój telefon.

— Wystarczył moment gapiostwa, a twoja „koleżanka” zawinęła go w serwetkę i chciała podać dalej. Zdążyłem złapać ją za rękę.

— Dzięki.

Tak, na mnie zdecydowanie już czas. Jest druga nad ranem. Muzyka milknie, a z barów na ulice wylewają się setki klientów — pijanych i trzeźwych, samotnych i w towarzystwie. Dziewczyny, którym nie udało się nikogo upolować, utrudniają wydostanie się z Soi Cowboy, nachalnie proponując swoje usługi. Jedna z nich przykuwa naszą uwagę dość niecodzienną urodą. Dajemy namówić się na jeszcze jednego drinka przy stole na jednym z ulicznych straganów. Rozmawiamy, flirtujemy, żartujemy. Zniecierpliwiona Angel, jak prosiła się nazywać, w końcu mówi: — Jeden 2000 bahtów. Obaj 3000 bahtów.

Wymieniamy z Pawłem porozumiewawcze spojrzenia, płacimy za drinki, grzecznie dziękujemy i spadamy. Na Pawła w domu czeka zazdrosna tajska dziewczyna. Regulamin mojego apartamentowca zabrania przyprowadzania prostytutek. Poza tym obaj jesteśmy zbyt pijani, by przez resztę nocy robić cokolwiek innego niż spanie. Łapiemy dwie różne taksówki, jako że mieszkamy w dwóch różnych częściach miasta. Nie pamiętam drogi do domu. Jak tak dalej pójdzie, to Bangkok mnie wykończy, zanim znajdę pracę.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Tajlandia — tropikalny raj z pięknymi plażami i krystalicznie czystą wodą, mekka niskobudżetowych turystów podróżujących z plecakami, kraina niewygórowanych cen i egzotycznych atrakcji kulinarnych, a także rozmaitych uniesień. Kolorowe tło dla przygód jak z filmów przygodowych. Miejsce, w którym każdy z nas chciałby zamieszkać albo przynajmniej tak mu się wydaje. Tobie również? Jeśli tak, Tajski epizod z dreszczykiem rozwieje wszelkie wątpliwości i ułatwi podjęcie decyzji, która może zmienić Twoje życie. To wartka relacja z przygód pewnego Polaka, który postanowił porzucić pracę w korporacji, wyemigrować do Tajlandii i zakosztować egzotycznych rozkoszy, z których słynie ten kraj. Jednocześnie jest to rzetelny opis realiów, stworzony przez człowieka, który „był, widział i swoje przeżył”. Lektura obowiązkowa dla wszystkich pragnących wyjechać z szarej Europy albo przynajmniej na chwilę oderwać się od jej nudnej rzeczywistości. Ostrożnie, ta książka wciąga!

Publikacja polecana przez:



Globtroter.pl



 **Bezdroża**

Cena 39,90 zł

Nr katalogowy: 7358



Księgarnia Internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
 <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodnik najchętniej czytany:
 <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podskórnicy:
 <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helena SA
ul. Kościuszkii 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 08 63
e-mail: bezdrazsa@bezdrazsa.pl
<http://bezdrazsa.pl>

ISBN 978-83-246-3866-6

